

Jeden jest mocarz Urum-Baba z białą, twardą kością  
i jeden jest świat należący do niego!  
Ugnij się każdy grzbiecie przed Panem!  
Przycichnij każde zagłośnie zwierzę!  
Przestań Puszczo węszyć ślady i polować, tam gdzie  
ja jestem!

Urum-Baba! Utamera! Hrrmfalaifala! Ooo! Uuu!  
— A skorom tak powiedział, rozgniewała się Trąba Wielka  
— i stała się rzecz straszna.

Koniec części pierwszej.

### ...Ja tylko śnić o tem mogę!

Widziałam jak hufiec ułanów szedł w bój!  
— Wschodząca im zorza jaśniała nad głową,  
I w blasków tęczyowych przybrała ich strój.  
A szumy drzew grały pobudkę bojową —  
A ptaki śpiewały poranny hymn swój.  
Hej! pędzą ułani! Jak wichry rwą konie.  
Na skrzydłach unoszą ich szalu, —  
Przed nimi — w łun krwawych odbłasków świat płonie  
I iskra pożaru zatliła w ich łonie —  
Płomieniem wybuchła zapału!

I wiatr ich upaja, co bije im w skronie...

Ja stałam na boku, patrzyłam na drogę  
I łzy mi do oczów wzbierały —  
Dlaczego ja z nimi tak pędzić nie mogę?  
Czy dzwony w Ojczyźnie bijące na trwogę  
Ich tylko pomocy wzywały?  
W tem — drgnęło mi serce — bo tam, z ułanami  
Mój chłopiec z ogzyma modremi...  
Rzekł do mnie: „nie czekaj! chodź z nami, leć z nami,  
Na koniach jak wichry, pędzeni wichrami  
Dla Polski po wolność jedziemy!  
I porwał mię z sobą, w zawrotny niósł szal,  
W wir jakiś bezkresny, upojny, szalony — — —  
Mój koń pędził wichrem, unosił mię, rwał,  
Wnet ptakiem uleci w podniebne gdzieś strony  
Bo ziemi zabraknie pod kopyt tych cwał!!  
— Jak cudnie upaja ta dzika swoboda,  
Co każe na jawie czarowny sen śnić.  
Już zgine wnet może... — lecz zginąć nie szkoda,  
By chwilę przynajmniej tak żyć!!!

Coś z cicha szeleści... to szemrzą gdzieś drzewa,  
To wiatr, co mi w pędzie warkocze rozwiewa,  
Coś dzwoni... to brzękła ostroga o strzemię,  
To pewnie podkowa upadła o ziemię  
I głos jakiś słyhać!... ułani śpiewają,  
Nie! — słowa modlitwy rozróżnić się dają  
I dzwonka wyraźny w niej dźwięk!!  
Koń zarżał żałośnie — wzrok smutny mi śle,  
On spojrzął miłośnie i rozwiął się w mgłę  
W tęsknoty nieznany mi lek...

Ach gdzież on? — I oczy otwieram szeroko  
Tak biał! czy biały to koń?  
Czy śniegiem pokryła się błoń?  
Białością olśniła mi oko.

— — — — —  
A biel dziwna w kształty się jakieś układa,  
W pościeli się fałdy normuje,  
W postaci firanki przed łóżkiem mem spada  
I... budę klasztorną wskazuje...  
I Matki Anieli głos słyszę z daleka,  
Jak mówi poranne pacierze —  
Więc już go nie ujrzę? Nie na mnie koń czeka,  
Nie dla mnie Ojczyzna — rycerze. —  
Ja tam już nie wrócę!... Ach, mnie tam nie było,  
Nie pomknę już wichrem przez drogę — — —  
Więc to był sen tylko — więc to mi się śniło!  
Ach! ja tylko śnić o tem mogę!

## ŻABI BAL.

(Opowiadanie dla najmłodszych).

Chlap!... Chlap!... Chlap!...

Któż to tak ciężko stapa? Aa! — to żabi listonosz Głośnołazik. Niesie przed sobą całą plikę zaproszeń na bal, — które musi doręczyć wszystkim rodzinom żabim, mieszkającym w tej okolicy. Nie też dziwnego, że Głośnołazik wzdycha, spoczywa co parę kroków, lecz zaraz puszcza się dalej, boć to już południe — a wieczór bal.

Z głównej drogi skręcił w bok. Nie chce chodzić tam, gdzie ludzie chodzą, a szczególnie nieznosne dzieci. Te, jak się tylko jaka nieświadoma żabka pokaże, oho! już ryp kamieniem! Zresztą — kto by tam o tych rzeczach wspominał! Głośnołazik strasznie nie lubi o tem myśleć, a chcąc uniknąć spotkania z takimi dziećmi, chodzi sobie innemi, dla żab tylko dostępnemi drogami.

U stóp małego pagórka, w oprawie siwych i krzywych ze starości wierzb leżał, mo... zgadnijcie co?... staw! Mały błotnisty staw, ot taki, jakich to dużo jest na wsi. Tam skiełnował swe kroki Głośnołazik; przed samem wejściem odsapnął trochę, bo nie chciał, aby poznano jak jest zmęczony (miał astmę, a wstydził się tego) i chlupnął do wody.

Tu mieszkała rodzina Skoczków, a składała się ona z ojca, matki, dwóch chłopczyków i dwu dziewczynek; chłopczyńska to byli wielcy urwisze, wszyscy sąsiedzi skarżyli się na nich. Dwie dziewczynki... zwyczajnie dziewczynki, były grzeczniejsze, cóż z tego, kiedy ciągle się mazały.

Głośnołazik trafił właśnie na chwilę, kiedy ojciec z matką rozgniewani, już... już zabierali się do bardzo niemilej czynności... Oj! bo tak małe żabki wrzeszczały...

Aż tu.

— Kwim — kwim — kwim.

— Kto tam?

— Ja, Głośnołazik, przynoszę zaproszenie na bal.

Żaby wiedziały o balu, ale u nich to taki zwyczaj, że bez zaproszenia iść nie można. Zaraz ogromnie ucieszone zaczęły wołać:

— Aleśmy rade, rade, rade!